ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXX. Nr. 39 28.IX.1935

Wobec ogromnego zainteresowania, jakie wywołał nasz

KONKURS

„PIĘKNOŚĆ, INTELIGENCJA, MAJĄTEK CZY ZDROWIE",

na życzenie naszych prenumeratorów zagranicznych, którzy z powodu odległości nie byliby mogli nadesłać na czas opdowiedzi — Redakcja „Świata"

PRZEDŁUŻA TERMIN NADSYŁANIA ODPOWIEDZI.

Ważne będą i wezmą udział w konkursie wszystkie odpowiedzi, nadesłane nam do dn. 7 października r. b. i noszące stempel pocztowy tej daty.

JAN LORENTOWICZ

GRANICA MARZENIA

Nowej książki p. Nałkowskiej oczekuję zawsze z wielkiem zainteresowaniem. Rozwój jej pięknego talentu śledziłem uważnie od samego początku t. j. od lat trzydziestu. Przez długi czas patrzała na świat „od strony siebie", czyli upajała się przeświadczeniem, że niema przedmiotu bardziej godnego podziwu, niż jej własna indywidualność. Po wojnie p. Nałkowska odnalazła na dnie własnej duszy świat *cudzy* czyli pewną syntezę kultury umysłowej, połączonej z wybitnym talentem pisarskim. Od tej pory patrzy na życie z przedziwną pogodą. Wszystko ją zajmuje jednakowo: natura, zwierzęta i ludzie. Wszystko rozumie i wszystko ogarnia filozoficznym spokojem. Tą samą skalą zainteresowań mierzy życiowe drobiazgi bez znaczenia, co wstrząśnienia moralne i katastrofy wielkiej żądzy. Samej gry namiętności unika, bo jej wytworny chłód powstrzymuje ją od przeżywania ludzkiej męki. Nie przeszkodziło jej to do zbudowania tak świetnej sztuki, jak „Dom kobiet", gdzie namiętności są raczej insynuowane, niż sprzężone ze sobą żywiołowo.

Przez jakiś czas p. Nałkowska należała do organizacji opieki nad więźniami w jednem z większych miast prowincjonalnych. Miała tam możność przyjrzenia się zblizka zbrodniarzom wszelkiego gatunku i z obserwacyj swych (oczywiście, powierzchownych) stworzyła przed czterema laty interesującą książkę wspomnień p. t. „Ściany świata". Doszła do wniosku, że odnalazła nowe, bogate źródło badania zakamarków duszy ludzkiej. Dramat „Dzień jego powrotu" zaświadczył, że co innego jest zewnętrzna obserwacja zbrodniarza zamkniętego w więzieniu, a co innego twórcza analiza pobudek jego występnego czynu. Psychologja głównej postaci dramatu jest tak samo fałszywa, jak wyjaśnianie przez autorkę wątpliwego morderstwa za pomocą teorji „zbrodniarza urodzonego".

Obecnie p. Nałkowska wypuściła w świat powieść p. t. *„Granica"* (Warszawa, 1935, Gebethner i Wolff), w której usiłuje znowu analizować zbrodnię. Jeżeli chodzi o „temat", to mogła go autorka znaleźć w pierwszej lepszej dziennikarskiej „kronice wypadków": Syn ziemianina, Zenon Ziembiewicz, wykształcony i zdolny, zdobył w krótkim czasie karjerę: jest prezydentem jakiegoś nieokreślonego bliżej miasta. Zakochał się w pannie Elżbiecie, zamożnej córce mieszczańskiej, co mu nie przeszkadza „romansować" z córką byłej kucharki jego rodziców, Justyną Bogutówną. Elżbieta dowiaduje się o tej miłostce jeszcze w epoce swego narzeczeństwa, ale jest wyrozumiała, chociaż bardzo cierpi. Opiekuje się Justyną, wyrabia jej różne zatrudnienia. Zenon ze swej strony pomaga dziewczynie materjalnie, pomaga jej w sprawie spędzenia płodu. Pomimo tej czujnej opieki obojga państwa Ziembiewiczów, Justynę trawi głęboki żal do swego kochanka. Rok cały upłynął, a żal ten nie zmniejsza się, ale rośnie coraz więcej.

Pewnego dnia Justyna dotarła do gabinetu Zenona, chlusnęła mu w twarz witryolejem i wypaliła mu oczy. Zrozpaczony kochanek popełnia samobójstwo, pani Elżbieta zaś zostawia swe dziecko pod opieką matki i — wyjeżdża za granicę.

Trudno sobie wyobrazić brutalniejszy i pospolitszy schemat wydarzeń. P. Nałkowska, pod niewątpliwym wpływem atmosfery wielu naszych powieści powojennych, nie zlękła się takiego „dramatu". Przy swoim wielkim talencie mogła była stworzyć dzieło wybitne. Tylko jakoś nie przemyślała metody zarówno w budowie powieści, jak w psychologji poszczególnych charakterów. Zaczęła niejako od epilogu t. j. od faktu uwięzienia Justyny i tragicznej śmierci Zenona, dość mglisto zaznaczonej. Cóż bowiem, przed poznaniem wypadków, może czytelnikowi powiedzieć takie filozoficzne rozważanie: „Umiera się w byle jakiem miejscu życia. I dzieje człowieka, zawarte między urodzeniem a śmiercią, wyglądają niekiedy jak nonsens. Któż bowiem jest w możności o każdej chwili przemijającej pamiętać, by mogła ona być na wszelki wypadek jego gestem ostatnim. Śmierć nieraz chwyta człowieka *in flagranti*, zanim zdążył przedsięwziąć jakiekolwiek środki ostrożności".

Po wstępnych zadumach nad wypadkiem, o którym nic jeszcze nie wiemy, zaczyna się szczegółowy opis życia głównego bohatera i jego późniejszej żony. Tutaj p. Nałkowska prowadzi cały szereg akcyj równoległych, jak to uczyniła w swych „Nocach i dniach" p. Dąbrowska. Chodziło niewątpliwie o szerokie tło obyczajowe, niestety jednak tło takie nic nie wyjaśnia. P. Nałkowska przesuwa szereg naturalistycznych niemal obrazów życia codziennego, mniej lub więcej luźnie związanych z bohaterami „Granicy". O każdej z postaci dowiadujemy się mnóstwo szczegółów zbędnych, podawanych niekiedy z przesadną i bezcelową jaskrawością. Notuje np. autorka codzienne czynności fizjologiczne, chociaż bywa zazwyczaj niezmiernie dyskretna w opisach scen erotycznych. Nie rozumiemy celu tak pilnego rozważania żywotów wszystkich ludzi, których spotykają po drodze Zenon lub Elżbieta. Jedno tylko odnosimy z tej czynności wrażenie: p. Nałkowska rozmiłowana jest w życiu rodzinnem; umie je malować z taką dozą ciepła i uczucia, jakiej u niej nie spotykaliśmy w innych okazjach.

Uderza poza tem w całej opowieści przedziwnie czysta, szlachetna, niemal klasyczna polszczyzna. Niewielu mamy pisarzy, którzy umieją pisać w taki sposób o rzeczach prostych i szarych. To jest rzetelna rozkosz tej dziwnej książki. Nie znaczy to, aby p. Nałkowska umiała stale wytrwać w prostocie stylu. Nawyknienia wyrafinowanego intelektu pobudzają autorkę razporaz do refleksyj dosyć skomplikowanego algebraizmu. Wówczas padają zdania takiego pokroju: „Te sprzeczne sądy trwały w niej obok siebie, wspierając się nawzajem i uzupełniając dla stworzenia obrazu świata o podłożu wybitnie relatywistycznem". Albo np. o kucharce Bogutowej: „W skupieniu i uwadze, wspomagana wiedzą nabytą i wrodzonym talentem, wykonała to, co oni z całem zaufaniem spożywali. Za jej sprawą doznawali tylko subtelnych upojeń smaku, ale przenikali się głęboko ideą jej lotnego, zachwyconego natchnienia i przetwarzali je w swoją treść biologiczną". Zakończenie opisu obiadu: „Zamykał całą sprawę proces asymilacji, wprowadzenie tych treści i wartości w spokojny krwiobieg rasowego organizmu, przetwarzanie ich zgodnie z prawami przemiany materji w wybredny stosunek do życia i jego spraw, w idealistyczny światopogląd powszechnej celowości i harmonji, w metafizyczne kryterja sądów moralnych". Z charakterystyki Justyny: „W swym epickim stosunku do rzeczywistości nie rozróżniała w zjawiskach żadnej hierarchji. Wszystko zarówno było ważne i zajmujące. Gdy mówiła, sprawy układały się na jednej płaszczyźnie, oddzielone tylko konturami, bez perspektywy. Brała udział we wszystkiem i tym gorącym stosunkiem do świata osiągała rzecz dziwną, że geometryczne kształty faktów ściśle przylegały do siebie, nie było między niemi miejsc pustych" i t. d.

W psychologji postaci „Granicy" dostrzegamy te same, co dawniej cechy: subtelne, przenikliwe i delikatne zbliżanie się do duszy kobiecej, zaś — powierzchowne, sztuczne i lękliwe charakteryzowanie mężczyzn. Elżbieta od początku do końca malowana jest znakomicie; Zenona zostawiła autorka w niedomówieniach i mgłach. Justyna zarysowana została na charakter oryginalny w poważnym stylu; niestety porzuciła ją p. Nałkowska w chwili, gdy odbywa się w jej duszy straszliwy proces szykowania zbrodni. Motywów tej zbrodni nie wyjaśniła i nie rozwinęła: najważniejszy czyn opowieści (okoliczności oślepienia Zenona i jego samobójstwa) zamknęła p. Nałkowska w trzech stroniczkach „zakończenia", które stają się dla czytelnika ostrym zgrzytem „reportażu".

A sam tytuł? Dlaczego „Granica"? Ma nam to wyjaśnić jeden końcowy djalog Zenona z Elżbietą: „Chodzi o to — mówi Elżbieta — że musi coś przecież istnieć. Jakaś granica, za którą nie wolno przejść, za którą przestaje się być sobą". Zenon odpowiedział krótko: „Można być tylko tem, czem się jest, moja droga — nic więcej nie można".

...Nie można naprzykład stać się pisarką szarzyzny naturalistycznej, gdy się posiada wytworny, piękny styl wielkiej twórczyni i głębokie zamiłowanie subtelnych zagadnień ideologicznych.



NIEDOLA ABISYNJI

Rozmowa z delegatem Abisynji

Podczas Zgromadzenia Ligi Narodów przedstawicielowi naszego pisma udało się uzyskać specjalną audjencję u Ministra pełnomocnego Abisynji przy rządzie Brytyjskim, który podzielił się wrażeniami w tej tak obszernie obecnie dyskutowanej kwestji konfliktu z Italją.

— Trzeba Panu wiedzieć, — zauważył na wstępie Dr. Martin, poseł abisyński w Londynie, — że Etiopja jest dzisiaj jedynym wolnym narodem w Afryce, bez żadnych ambicji agresywności względem innych narodów, pragnąc jedynie pokojowego rozwoju stosunków gospodarczych i kulturalnych. Imperjum Abisyńskie datuje się w historji tak daleko jak czasy Salomona, żyjąc jako państwo niepodległe przez ostatnie 3.000 lat.

Cała sprawa konfliktu, jaki obecnie Italja stara się wywołać, rozpoczęła się właściwie od chwili, kiedy daliśmy Italji gościnę w Messawie, pragnąc ułatwić im pewne oparcie na brzegu morza. Cesarz Menelik dał Italji wielkopańskim gestem prowincję Hamasen, zwaną dziś Erителją i to stworzyło pretekst do dalszych apetytów zaborczego sąsiada. Incydenty Wal Wal, o których świat cały jest dziś doskonale poinformowany przez wydatną propagandę, były tylko pretekstem do wywołania zapowiadanego konfliktu przez Włochy.

„Konieczność" ekspansji, jaką dzisiaj Włochy pragną głównie podkreślić, motywując zaborcze swe zamiary względem Abisynji, nie jest zupełnie uzasadniona. Dlaczego Etiopja ma być ofiarą tego życzenia? Dlaczego Włochy nie skierują swych apetytów zaborczych w inną stronę, do krajów, które poszukują kolonizatorów. Zresztą Włochy nie są znów tak wielce przepełnione i łatwo skonstatować, przeglądając statystykę zaludnienia na świecie, że Wielka Brytanja, Belgja, Niemcy i t. d. na kilometr kwadratowy gęściej są zaludnione, a mimo to nie szukają deski ratunku w zbrojnem tyranizowaniu innych.

Pozatem Etiopja otwarta jest dla wszystkich tych, którzy pokojowo pragną zamieszkiwać kraj nasz i wspólnym wysiłkiem dążyć do rozwoju gospodarczego i kulturalnego. Więcej może już Włochy w tym kierunku uzyskały, niż inne narody, a więc miałyby raczej mniej powodów do tego rodzaju ustosunkowania się do kraju, który tyle życzliwości i gościnności okazał dla Włoch.

Barbaryzm Etiopji nie jest takim, jakim go widzą oczy tych, którzy pragną się nami „opiekować". Kraj nasz, — kontynuuje Dr. Martin, — ubogi w kapitały, gdyby miał możność rozwoju swych bogactw naturalnych: złota, platyny, miedzi, potasu, miki, ziemi urodzajnej zdolnej do produkcji nietylko zboża ale i bawełny, kauczuku, owoców południowych i t. p. za lat 20 doszedłby do równorzędnego poziomu z narodami Europy. Potrzeba nam tylko nieco więcej kapitału na budowę szkół, dróg, mostów i t. d. Jezioro Tana odgrywa ogromną rolę dla istnienia Egiptu i Sudanu i bez niego żyzne doliny Nilu zamieniłyby się w bezwartościową pustkę. Jest to więc kraj pod względem gospodarczym b. ciekawy i dlatego może tak wielki wzbudza apetyt u niektórych sąsiadów, którzy pod pokrywką krzewienia cywilizacji mieczem i krwią pragną uszczęśliwić innych. Ostatnie odkrycia, konstatujące istnienie ropy naftowej i węgla, apetyty te jeszcze bardziej zwiększyły. Niema jednak powodu, dla którego Włochy lub inne państwo miałoby swe zaborcze zamiary skierować na ziemię, która nie znała najeźdźców przez tysiące lat i która tak gwałtownie, bo aż krwią gęsto zroszonej, „cywilizacji" by potrzebowała.

Jeśli pretekst niewolnictwa, które rzekomo u nas ma istnieć, jest dostatecznie ważkim dla zaborczych zamiarów Włoch, dlaczego inne szerokie połacie na kuli ziemskiej nie mogą być traktowane na tejże samej stopie. Dlaczego „dobrodziejstwo" to ma dosięgnąć tylko Etiopję i to wbrew jej zdecydowanej woli.

Warto także podkreślić, — ciągnie dalej Dr. Martin, — że w naszym kraju istnieje wolność, której może nam pozazdrościć niejeden Włoch.

Zresztą Włochy same postawiły kandydaturę Etjopji jako niepodległego państwa do Ligi Narodów, a dzisiaj dla osobistych korzyści i interesów pragną przedstawić całkiem odmienny obrazek abisyńskiej rzeczywistości. Nie mając środków na prowadzenie tak szerokiej propagandy, jaką Włochy upajają świat sprawą abisyńską, naturalnie rację wielu przyznaje tym, których ona dosięga. Oto naga rzeczywistość. Znaną jest historja wilka i jagnięcia, którzy spotkali się u jednego ruczaju, gdzie wilk, mając wielki apetyt, szukał pretekstu dla „opieki": — ty mącisz mi wodę— powiedział i spokojnie, z usprawiedliwionem sumieniem zjadł owcę....



Delegat Abisynji w Genewie, Min. Martin poseł abisyński w Londynie

Dzisiejsze intrygi Włoch, preteksty, jakie podają, by przy jedzeniu owcy nie mieć wyrzutów sumienia, są stekiem niepoważnych zarzutów. Napady pograniczne zdarzają się we wszystkich krajach, nawet w cywilizowanej Europie XX stulecia. Każdy ze znanych na świecie krajów kolonjalnych z problemem tym ma często do czynienia, i nikt na serjo incydentów tych nie bierze, karząc winnych zwykłemi karami za napad czy rabunek.

Traktat z roku 1908 gwarantował niepodległość Etiopji, artykuły 10, 12, 13, 15 i 16 Covenantu Ligi Narodów gwarantują respekt terytorjalny wszystkich członków Ligi i ich polityczną niepodległość. Włochy dzisiaj pragną złamać wszystkie te gwarancje dla swego niskiego celu, podboju państwa stokroć słabszego, które potrafi jednak wykazać niezbędną odporność dla uśmierzenia zamiarów zaborcy. Ciekawe, jak reagowałyby te same Włochy, gdyby silniejszy od nich naród pragnął pod pretekstem „konieczności" ekspansji czy krzewienia „cywilizacji" zagarnąć Włochy pod swoją dominację?

Dla tych powodów poseł Martin widzi w konflikcie abisyńskim konflikt prawa z siłą, konflikt sprawiedliwości z przemocą, dowodząc, że jako taki interesować on powinien cały świat cywilizowany.

J. J. Pełczyński.

ZBIORY ZAMKU KRÓLEWSKIEGO NA WAWELU

Dr. S. Świerz - Zaleski — „Zbiory Zamku Królewskiego na Wawelu". Wyd. Ministerstwa W. R. i O. P.

Kiedy zastanawiamy się nad tem, czem po odnowieniu ma być Wawel dla Polski — odpowiedź jest jedna: wskrzeszoną siedzibą polskich królów, obrazem świetnej przeszłości.

Wawel nie powinien być analogją do pałacu Pitti, czy Uffizi, czy Luwru — nie powinien mieć ambicji muzealnych.

Powinien natomiast stać się wiernem odtworzeniem królewskich wnętrz renesansowych — wzorując się w tych zamierzeniach na Castello Sant' Angelo w Rzymie, na Zamku w Veronie, na Ca' d'Oro w Wenecji, Palazzo Davanzati we Florencji, a nawet Casa dei Vetti w Pompei. Intencją odnowicieli tych cennych zabytków architektury było nie pokazanie widzowi jeszcze jednej galerji obrazów, lecz przeniesienie go w sposób iście magiczny w odległe wieki przez mistrzowską rekonstrukcję przeszłości.

Przeglądając broszurkę o Zbiorach Wawelskich, której autorem jest tych zbiorów kustosz, ulegamy pewnej obawie, czy odnowienie Wawelu idzie we właściwym kierunku.

Broszura ta, poświęcona zbiorom wawelskim, wywołuje przedewszystkiem refleksję zasadniczą: Jaki sobie stawia cel? Poco została napisana? Czem właściwie chce być?

Pytanie to — po przeczytaniu broszurki — pozostaje przeważnie bez odpowiedzi. Nie jest to bowiem ani szczegółowa, wyczerpująca *historja* zbiorów wawelskich, ani dokładny, źródłowy ich *katalog*. Jest to raczej propagandowa ładnie ilustrowana ulotka (19 stron tekstu, 48 dobrych ilustracji) — mająca chyba na celu pobudzenie ofiarności społeczeństwa na rzecz zbiorów wawelskich.

Piszę „chyba" — bo autor nigdzie tego wyraźnie nie mówi, twierdzi tylko pod koniec swych wywodów, że *„patrząc na te zaczątki na Wawelu zbiorów dawnego malarstwa, rodzi się jedna chęć, jedna myśl"*. Ale jaka? Tegośmy się pomimo całego zainteresowania nie dowiedzieli.

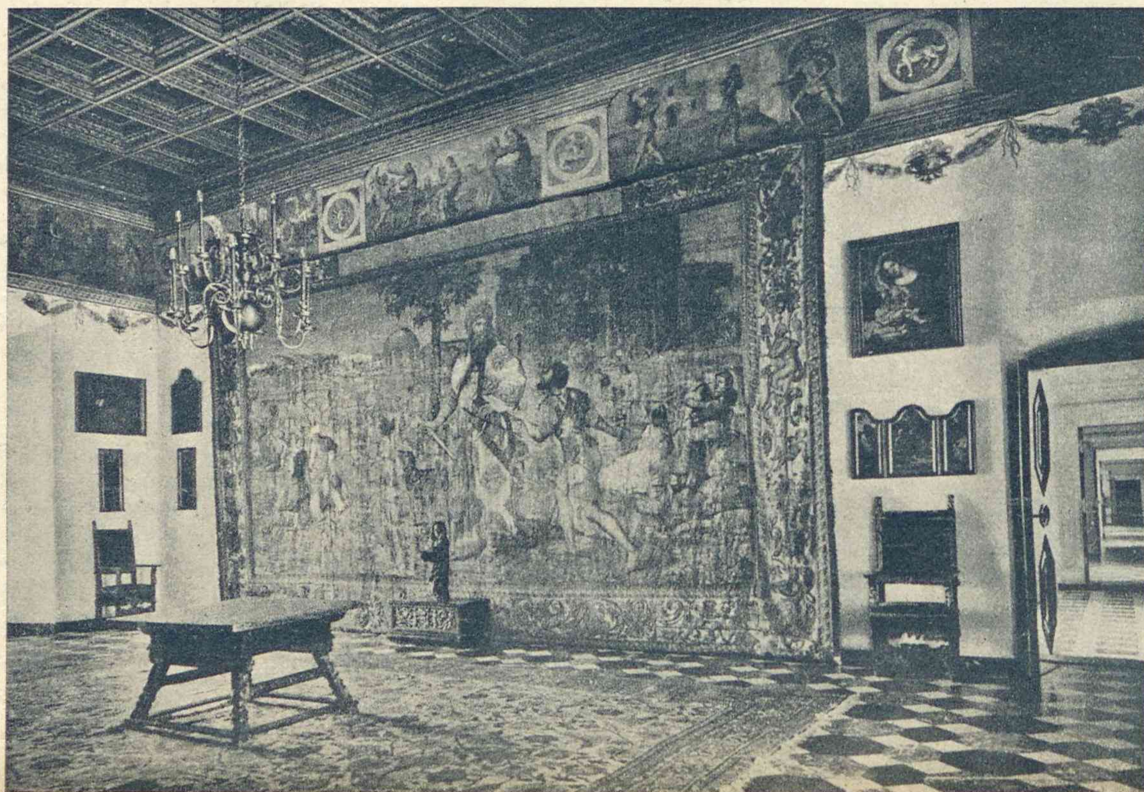
Po krótkim wstępie, poświęconym zaczątkom zbiorów Wawelskich, autor podaje zwięzłe opisy poszczególnych działów tych zbiorów: arrasy, galerja obrazów, skarbiec i zbrojownia, sale jazdy polskiej.

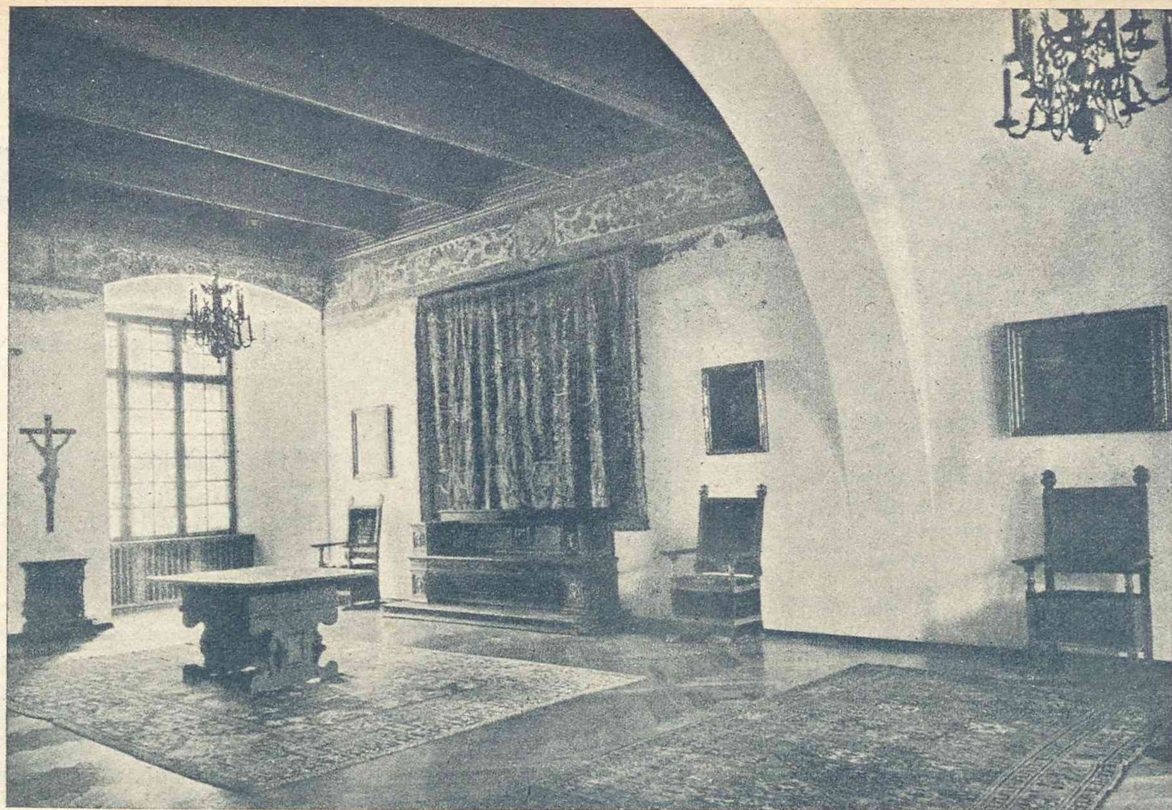
Wydaje się, że zamiłowania pana Świerza skłaniają się przedewszystkiem ku malarstwu— o tym bowiem dziale zbiorów pisze najobszerniej i z widocznym zapałem. Uwaga mimochodem: czyżby Wawel *zupełnie nie posiadał rzeźb* z minionych epok? (Bo niema o nich ani słowa). Byłaby to w *dekoracji* zamku wawelskiego luka niewybaczalna. Z naciskiem piszę: *w dekoracji* — gdyż sądzę, że powinno się bardzo wyraźnie sprawę postawić na płaszczyźnie rzeczywistych *potrzeb Wawelu.*

Wawel *nie ma być galerją obrazów,* lecz wskrzeszonym zamkiem królewskim, którego wnętrza wymagają odpowiednio stylowego urządzenia. Ale nie gromadzenia kilometrów zamalowanego płótna, broń Boże.

Dopóki Wawel nie posiada jeszcze dostatecznej ilości starych renesansowych sprzętów, będących nieodzownem uzupełnieniem jego wnętrz — dopóty będzie tylko szeregiem lepiej lub gorzej odnowionych martwych sal. Starania o możliwie *piękne sprzęty* dla Wawelu byłyby staraniami absolutnie pierwszorzędnej wagi. Troszczenie

Wawel. — Sala II-go piętra (pod zodjakami) z arrasami historji Wieży Babel. Bruksela. Połowa XVI wieku.





Wawel. — Sala I-go piętra z polichromowanym stropem XVI wieku.

się o to, że taki czy inny malarz włoski albo flamandzki nie jest w zbiorach wawelskich reprezentowany — wydaje się conajmniej nieporozumieniem.

Przyjrzyjmy się tej wawelskiej „galerji obrazów", którą opisuje pan Świerz. Z chwalebną lojalnością kustosz zbiorów wawelskich nie stara się nam wmówić, że zbiory te składają się z samych arcydzieł. Wyznaje, że tacy a tacy mistrze reprezentowani są przez kopje, inni przez prace warsztatowe, inni przez repliki, inni jeszcze — przez swych uczniów. Nie robimy z tego nikomu zarzutu. Nie stać Polski dzisiaj na skupowanie arcydzieł wielkich mistrzów. Dobra kopja może je zastąpić. Tylko, że kopje nie nadają się do poważnej „galerji obrazów" — lecz wyłącznie właśnie do dekoracji sal.

Rozmawiałam kiedyś na ten temat ze znanym włoskim historykiem sztuki, który prowadzi w Rzymie jeden z najbardziej ekskluzywnych domów antykwarskich, pracujący wyłącznie dla wielkich muzeów i głów koronowanych. Znajomy mój pokazał mi otrzymaną przed godziną dużą fotografję obrazu, nadesłaną mu z okolic Wenecji, z pałacu jakiegoś bankrutującego arystokraty. Obraz wydawał się dobry. Ustalić jednak jego autentyczność na zasadzie samej fotografji było rzeczą niemożliwą. Włoski historyk sztuki mówił: „Jeżeli obraz ten jest, jak pozory pozwalają przypuszczać, dziełem Gentile Bellini — to wart jest kilkaset tysięcy. I nabywca na niego już czeka. Jeżeli jednak jest tylko „scuola" di Bellini..." — Tu się zamyślił.

— Jeżeli „scuola" — to co?

„To wart jest kilkaset lir, albo tysiąc, — i może wisieć, gdzie wisiał dotychczas. Ja towarem podrzędnym nie handluję. I żadne szanujące się muzeum odemnie tego nie kupi. Sarebbe soltanto un quadro di decorazione, nient' altro..." (Byłby to tylko obraz dekoracyjny, nic ponadto).

Troski pana Świerza o powiększanie „galerji wawelskiej" zdają się pomijać tę podstawową prawdę. Gromadzenie kopji i replik— nie jest kompletowaniem galerji. A zresztą tworzenie galerji nie powinno wcale leżeć na sercu kustoszowi Wawelu. Niech lepiej się postara o autentyczne stare pełne charakteru gdańskie czy włoskie meble, o nieodzowną ceramikę z epoki, tkaniny, świeczniki, bronzy, — a zasługa dla przywrócenia Wawelowi jego królewskiego stylu będzie bez porównania istotniejsza.

Zwłaszcza że... jakże to pan Świerz pisze: że królowie polscy gromadzili obrazy na Wawelu, jednak *„wojny, grabieże, pożary rozproszyły tę galerję i nie pozostał z niej ani jeden obraz..."*

Istotnie — dziwne jakieś i złowrogie fatum...

Jeżeli jednak nawet „galerja" dawniej była — niema dziś konieczności gromadzenia obrazów bez wyboru, aby tylko nazywało się, że Wawel posiada „galerję". Wiadomo, że zaczątek, będący obecnie w posiadaniu Wawelu, składa się w znakomitej większości z darów. Dary oczywiście z wdzięcznością przyjmować należy — ale traktować je przy dekorowaniu wnętrz z równą surowością, jak każdy obraz kupiony. Że dane malowidło ofiarował dobry patrjota i zacny człowiek — nie znaczy jeszcze, żeby naprawdę *musiało* być arcydziełem. *Może* niem być — i wtedy dać mu w sali miejsce honorowe. Może niem nie być — a wtedy zawiesić je na schodach, albo nawet... wynieść na strych. Mówi się wprawdzie w Polsce ze szlagońską serdecznością, że „darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby". Przy kompletowaniu zbiorów publicznych jednak jest inaczej. Darowanym obrazom w zęby bezwzględnie zaglądać należy.

Ilustracje broszurki p. Świerza potwierdzają wymownie moje przypuszczenie o zamiłowaniach kustosza Wawelu. Oto dano nam *zaledwie 7 zdjęć wnętrz wawelskich* — a jest to dział, który czytelnika przedewszystkiem interesuje. Natomiast mamy aż 20 zdjęć z obrazów.

Szata zewnętrzna książeczki staranna. Trochę męczący swoisty sposób autora stawiania znaków pisarskich: przecinkami z tej jednej broszurki możnaby obdzielić kilka wcale sporych tomów.

Z. Norblin-Chrzanowska.

POŁÓW PEREŁ



Czy licznik dobrze liczy?

Każdy z nas, mieszkańców stolicy, posiada telefon automatyczny. Niestety. Bo dopóki były telefonistki, rozmawiał abonent tyle, ile mu było potrzeba — (poto w krajach cywilizowanych istnieją telefony) — i płacił stałą sumę miesięczną. Przyszli zbawcy, którzy chcieli abonentowi... zrobić przyjemność. Oszczędzić mu wydatków. Obliczyli rozmówki od sztuki—i po tych „dobrodziejstwach" każdy z nas płaci miesięcznie za telefon dwa albo trzy razy drożej, niż poprzednio.

Gdyby polacy mieli południowy temperament — wszyscy warszawianie zgłosiliby do PAST-y rezygnację z użycia telefonu. Solidarnie.

Ponieważ temperamentu nie mają — przeto złorzeczą — i płacą. Płacą haracz, który przekracza możliwości przeciętnego płatnika. (Nawiasem mówiąc — czynniki najwyższe winnyby bliżej wejrzeć w tę sprawę, która trąci narzucaniem cen lichwiarskich na artykuł pierwszej potrzeby).

Znalazł się jednak w całej stolicy jeden— powtarzam JEDEN— człowiek energiczny, i — wytoczył PAST-ie proces. Zwyczajnie: ponieważ przysłano mu nakaz płatniczy za rozmowy, których NIE BYŁO. Aplikant adwokacki, pan Karen, skrupulatnie prowadził ewidencję swych rozmów — i wie, ile powinien zapłacić. (Któż z nas tak czyni? Nikt zapewne, dlatego potem jęczymy....) PAST-a kazała mu zapłacić za I-sze półrocze 1935 r. za 700 rozmów nadliczbowych. Pan Karen rozmów nadliczbowych nie prowadził. Po reklamacji klijenta ZMNIEJSZONO MU RACHUNEK: OBLICZONO JUŻ TYLKO 200 ROZMÓW NADLICZBOWYCH. Za Żelazną Bramą, w żydowskich straganach można coś odtargować. Okazuje się, że nietylko tam... W solidnych firmach też.

Aliści klijent, niezadowolony z osiągniętej zniżki, zażądał zwrotu prawie 100 złotych, niesłusznie nadpłaconych za owe rozmowy. PAST-a broni się, twierdząc, że jej liczniki nie mogą się omylić —więcej nawet: że chyba... ODRÓŻNIAJĄ ONE GŁOSY MĘSKIE OD ŻEŃSKICH W TELEFONIE, — gdyż podobno zacna instytucja ustaliła, kto kiedy z panem Karenem rozmawiał....

Tego było klijentowi już zawiele. Zakwalifikował to jasno jako— nielegalny PODSŁUCH. I zażądał założenia dla siebie licznika w swojem mieszkaniu, tak jak ma licznik przy gazie i elektryczności.

Jeżeli, jak mu wszyscy abonenci telefonów szczerze życzą, pan Karen sprawę wygra — to PAST-a będzie miała za tydzień 68 tysięcy takich samych żądań, od 68 tysięcy swych warszawskich abonentów. Jeżeli im liczników odmówi — pan Karen będzie natychmiast najbardziej zajętym adwokatem w całej Polsce: murowane 68 tysięcy spraw do przeprowadzenia.

Można żyć...

W żywej korespondencji z Helsinek, drukowanej w I. K. C., Witold Giełżyński podaje istotnie sensacyjną dla polskiego dziennikarza wiadomość: oto przy czteromiljonowej ludności codzienne pisma fińskie biją przeciętnie od 40 do 60 tysięcy egzemplarzy. To znaczy, że w Polsce, przy 32 miljonach mieszkańców, nakłady pism naszych powinny wynosić przeciętnie od 320 do 480 tysięcy egzemplarzy....

A wynoszą po kilka lub kilkanaście.

Bodaj to żyć i nie umierać w tej Finlandji.

Mistrze stylu

Ajencjom urzędowym brak jest widocznie stylistów. Listy kandydatów na posłów zawierały niespodziankę: nowy w Polsce zawód— DZIAŁACZA SPOŁECZNEGO. Teraz, już po wyborach, ajencja „Iskra" wystąpiła jeszcze efektowniej. Ogłosiła urbi et orbi, że do sejmu wchodzi tylu a tylu prawników, tylu a tylu lekarzy, tylu rolników, robotników, przemysłowców, etc. — ORAZ DWIE KOBIETY.

„Kobieta" — w pojęciu „Iskry" to też zawód...

Ale co na to powiedzą wybrane, pani Pełczyńska i pani Prystorowa?

Maszyna czy łopata?

Snując refleksje na temat Wystawy Drogowej, „Kurjer Poranny" wyraża słuszne przekonanie, że maszyna jest świadectwem postępu, przynależności do wyższej cywilizacji. I dodaje, że w Polsce nieliczne są niestety maszyny — bo pracujemy przeważnie łopatami.

Zasadniczo słusznie.

Ale w roku pańskim 1935 —możemy za to raczej dziękować losowi. Bo gdyby w Polsce pracowały nie łopaty a maszyny, to zamiast oficjalnych paruset tysięcy bezrobotnych mielibyśmy ich — kilka miljonów. Na maszyny nas jeszcze wcale nie stać.

Nawet dla łopat nie mamy podobno dość pracy...

Nagusy—to dzikusy

Nietylko wśród dzikich murzynów Afryki środkowej...

Oto w Ameryce, w stanie Arizona, powstała „republika nudystów". Pewnego dnia przed czterema laty panowie odrzucili kołnierzyki, krawaty — i resztę. Damy poszły w ich ślady. I tak w kilkadziesiąt osób stworzyli sobie raj na ziemi — na zasadzie wspólnoty mienia, żony, i wołu, i osła, i służebnicy... Nietylko *„wszyscy nago"* było programem kolonji, ale i *„każdy z każdą"*.

Zbuntowały się po paru latach — kobiety. I z raju ziemskiego uciekły.

Oto okazało się, że wraz z odrzuceniem — kołnierzyków, mężczyźni odrzucili też wszelką wobec dam galanterję. I „orali w nie" niegorzej niż rodowici murzyni. Przestali wogóle pracować. Przed miesiącem wydali nawet prawo, że do pracy będą obowiązane tylko kobiety (nawet do najcięższych prac fizycznych) — a „panowie stworzenia" zadowolą się rolą kierowników i kontrolerów.

Wobec czego kobiety wróciły na łono „zgniłej cywilizacji" — a na mężczyzn urządzono karną wyprawę cow - boyów, która już im dobitnie wytłomaczy, że... praca uszlachetnia...

„Raj na ziemi" — narazie zamknięto.

Radjo, teatr i młodzież

Polskie Radjo swe braki programowe tłomaczy często „gustem publiczności". Taksamo czyni kiepski teatr, marny wydawca, etc. Czy jednak publiczność nie ma gustu lepszego, niżby się mogło zdawać?

Pismo młodzieży szkolnej „Kuźnia młodych" — wyraźnie pismo uczniów szkół średnich — w ostatnim numerze występuje z ostrą i rzeczową krytyką muzycznych programów radjowych. W tym samym numerze znajdujemy recenzje z ostatnich premjer teatrów T. K. K .T. — również dalekie od zachwytu. Młodzież szkolna....

Nie trzeba za dużo mówić o złym smaku szerokich mas...

Munduromanja

Reforma szkolnictwa — dobrze. Może i potrzebna. Co rok inne podręczniki — trudno, jeśli niezbędne, to się kupi.

Ale obowiązkowe mundurki?

Czapki?

Numerki?

Naszywki?

Zeszyty takie właśnie a nie inne?

Naco to komu potrzebne?

Zgnębieni rodzice ledwo mają na czesne — a tu sprawiaj jeszcze kilkorgu dzieciom w wieku szkolnym — OBOWIĄZUJĄCE w tym roku — płaszcze uniformowe.

Europa dawno zarzuciła tę kostjumologję.

Kipling na indeksie

— Gdzie?

„Gdzieżby, jak nie w Niemczech".

— Zaco? Czy żyd?

„Nie, nie żyd: ale „propagator supremacji i imperjalizmu brytyjskiego", jak oficjalnie oznajmił prof. Urbach, kierownik Izby Kultury Rzeszy".

— „Izby Kultury"?—Nie „Izby Barbarzyństwa"?

Biedne dzieci niemieckie... Nigdy nie przeczytają tej najmilszej książki, jaką jest „Księga Dżungli".

Donosicielstwo

Czytamy w „Kurjerze Warszawskim":

„Przed sądem wojskowym w Warszawie odbył się proces sierżanta pilota Kaz. Żwawiaka z centrum wyszkolenia oficerów lotnictwa. Pilot oskarżony był o to, że podczas rozmowy o awansach w święta Wielkiejnocy z sierż. Kowalczykiem w uwłaczający sposób wyraził się o wysokim urzędniku państwowym.

Oskarżony pilot odpowiadał z więzienia, w którem był od czasu oskarżenia go przez sierż. Kowalczyka. Rozmowa odbywała się bez świadków i sierż. Kowalczyk był jedynym, który udowadniał winę pilota.

Sąd wojskowy nie dał wiary oskarżeniu i sierżanta pilota Żwawiaka uniewinnił".

Chwała Bogu. Pladze „donosów" powinno się łeb urwać, póki się nie rozpanoszy nagminnie. Społeczeństwo, w którem zakwitłby „donos"— byłoby społeczeństwem spodlonem.

Może za wiele?

Stolica nasza nie ma wprawdzie wielu rzeczy, niezbędnych w Europie. Jednak chyba posiada rekord w zakresie — ilości stowarzyszeń. Podobno istnieje w Warszawie 2400 zarejestrowanych stowarzyszeń i organizacji. Manja „zarządów", „prezesów", „wicesekretarzy", „dyrektorów" etc. — może się już nieco zbyt szeroko rozwinęła?

Nasza duma—i nasze bolączki

Statek „Piłsudski" jest piękny. Jest nowoczesny. Jest ukochanem dzieckiem całej Polski. Zdał egzamin swej pierwszej podróży na piątkę.

Ale publiczność?

Pasażerowie?

Jak mówią naoczni świadkowie, zachowanie się publiczności na statku „Piłsudski" przypominało inwazję hord barbarzyńskich. Półnagie damy, pijani gentlemani rzucali się do stołu, jakby przez rok nic w ustach nie mieli. Nie jedli — żarli. Słyszało się uwagi: „Salcia, weź więcej, przecież to i tak zapłacone".

Polskie Radjo swemi skandalicznemi reportażami z tej podróży też przejdzie do historji.

Słowem — stworzyć piękne ramy, to nie dosyć. Trzeba jeszcze mieć kogo w te ramy — oprawić. Ale na to chyba trzeba będzie całych pokoleń, aby się niektórzy polacy nauczyli zachowywać przyzwoicie w miejscach publicznych.



Znają „Grubą Bertę"

Dziwnie prędko zapomnieliśmy Wielką Wojnę. Dziwnie prędko kancelarje dyplomatyczne całego świata zaczęły troszczyć się o to, żeby aby Niemcom to czy owo przypadło do gustu. Dziwnie prędko zaproszono ich do Ligi Narodów — i dziwnie niepotrzebnie się zmartwiono, gdy z Ligi wyszli.

I dziwnie im wszystko uchodzi...

I dziwnie każdy do nich rękę wyciąga...

Nie każdy.

Na dorocznym zjeździe Fidacu — Międzyaljanckie Stowarzyszenie Uczestników Wielkiej Wojny— zapadła znamienna decyzja:

PRZECIWKO GŁOSOWI DELEGACJI ANGIELSKIEJ

— postanowiono, że byli kombatanci nieprzyjacielscy nie mogą być przyjęci do Fidacu.

Bo każdy z członków Fidac'u dobrze zna niemców.

I „Grubą Bertę" zna nie ze słyszenia — jak dyplomaci zza zielonego stołu—ale poznał ją z „widzenia" a często i „osobiście".

Wszystko na opak

Do niedawna Ameryka wykupywała w Europie wszystkie cenne dzieła sztuki. „Prosperity" Wuja Sama pozwalała mu na najkosztowniejsze zachcianki. Nic mu nie było za drogie.

Teraz — cóż to za zmiana?

Oto jedna z londyńskich galerji zakupiła w Ameryce sześć obrazów włoskiego mistrza renesansu, Sassetty. Niejedno już dzieło Botticellego czy Rubensa wróciło w ostatnich czasach do Europy.

Nawet Morgan — legendarny bogacz — robi „wyprzedaż". Odstąpił niedawno holenderskiemu arystokracie obraz Fra Angelico, który nietylko był pięknem dziełem sztuki, ale swego czasu ozdabiał pałace książąt włoskich, królów francuskich i belgijskich. (Morgan to bardzo cenił).

A teraz —

Biedny Morgan...

Uparty nurek.

MIGAWKI Z „DNIA PARTYJNEGO" W NIEMCZECH



Rewja wojskowa zawierała ciekawy „napad" lotniczy i próby dział przeciwlotniczych. Widzimy je w akcji.

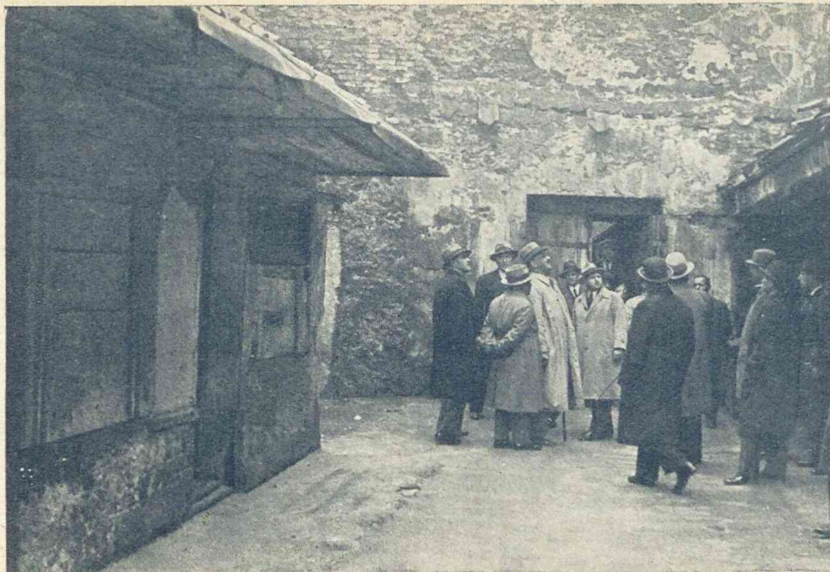


Powyżej: Moment szczytowy „dnia partyjnego" w Norymberdze. Hitler przyjmuje defiladę oddziałów bojowych ze sztandarami.



Na lewo: W czasie rewji wojskowej przedefilowały przed Hitlerem wszystkie rodzaje broni. Na zdjęciu, na estradzie, kanclerz Hitler, obok minister wojny Blomberg a za nimi szef lotnictwa, generał Goering.

ŚWIAT WIELKIEJ WARSZAWY



Podczas dokonywanej inspekcji przez prezydenta Warszawy, St. Starzyńskiego, inspekcji „artystyczno-zabytkowej", zwiedzający przybyli na ul. Rycerską, gdzie oglądali ciekawe fragmenty. Prezydentowi Starzyńskiemu towarzyszyli min. Paciorkowski, prezes S. O. i M. gen. Hubicki, wicemin. Jastrzębski, dyrektorowie departamentu w M. O. P. Lgocki i Pawłowicz, Prezydjum miasta, oraz liczni inżynierowie i technicy.

KULT DLA STOLICY

W Warszawie obudził się duch kultu dla własnego miasta. Ta część prasy, która tę konieczność podkreślała, uzyskała w ostatnich dniach autorytatywny sukurs ze strony prezydenta stolicy min. Starzyńskiego. Zarówno w swym niedawnym odczycie, jak i w zachęcaniu d oakcji w tym względzie „Związku Propagandy Warszawy", wyczuwa się tę zdrową i pożyteczną myśl. Na zebraniu towarzysko - informacyjnem, jakie odbyło się niedawno w wielkiej sali Ratuszowej — prezydent stolicy St. Starzyński zapoznał zaproszone sfery artystyczne i prasowe z dokonaną i zamierzoną pracą władz miejskich na polu artystycznem i kulturalnem.

Praca ta może się wykazać już zupełnie poważnym dorobkiem. Jedną z ostatnich widomych oznak tej działalności było wydanie pięknego albumu, poświęconego pięknu Warszawy — a z którem właśnie zaproszeni artyści zapoznali się podczas przyjęcia u p. Prezydenta.

Akcja zespolenia dookoła pracy zarządu miasta licznego zastępu obywateli właśnie ze sfer artystyczno - prasowych jest niewątpliwie pomyślana bardzo szczęśliwie. Taka współpraca musi wyjść na dobre stolicy. W tym bezpośrednim kontakcie może kwitnąć inicjatywa, mogą krystalizować się pomysły, mogą być... korygowane czasem jednostronne zamierzenia, a czasem jednostronne aspiracje. Ten pierwszy kontakt władz stolicy z artystami na grucie Ratusza musiał się ograniczyć do strony zapoznawczo - informacyjnej — jest on jednak doskonałym „pierwszym krokiem".

Prace inwestycyjne, prace planowe — o których wielokrotnie pisaliśmy i piszemy w „Świecie Wielkiej Warszawy", są kwestjami dnia, kwestjami życia i rozwoju stolicy. Rozmach tych urbanistycznych zamierzeń jest istotnie wielkomiejski. Ale urbanistyczne plany—nowoczesne—nie mogły pozostawić na uboczu kultu dla zabytków, dla tych fragmentów piękna, jakie w Warszawie są, które w stolicy ocalały i które ocalić jeszcze można. W tej dziedzinie rok bieżący zaznaczył się specjalnie żywem tempem. W ciągu ostatnich tygodni prezydent Starzyński w towarzystwie min. Paciorkowskiego, prezesa S. O. M. Hubickiego, wic. Jastrzębskiego, dyrektorów Lgockiego i Pawłowicza, prezydjum miasta, techników i inżynierów dokonał szeregu inspekcji „artystyczno - zabytkowych". Podczas tych inspekcji wiele fragmentów zanotowano i uwadze władz miejskich do należytego konserwowania przekazano. Wśród tych zabytków — mało widoczny ,ale dokładnie „architektonicznie uzupełniony" pałac Potockich na Miodowej wysunął się na jedno z pierwszych miejsc. Nie omawiamy dziś szczegółowiej tych akcji — notujemy tylko bardzo szczęśliwe inicjatywy. Inicjatywy szybko przekształcające się w czyn. Te właśnie cechy charakterystyczne — cechy realizatorskie — oraz, o ile się nie mylimy — intencje bezpośredniego kontaktu ze sferami obywateli, których sercu droga jest Warszawa, jej piękno, jej rozwój, jej państwowe znaczenie — notujemy dziś z zadowoleniem.

Nad urbanistyczną przyszłością i piękną szatą naszej stolicy wszyscy chcemy czuwać, wszyscy chcemy się do tego przyczynić w miarę możności i niewątpliwie wszyscy chętnie swą współpracą i działalnością służymy gospodarzom i zarządcom miasta, na Ratuszu stołecznym zasiadającym.

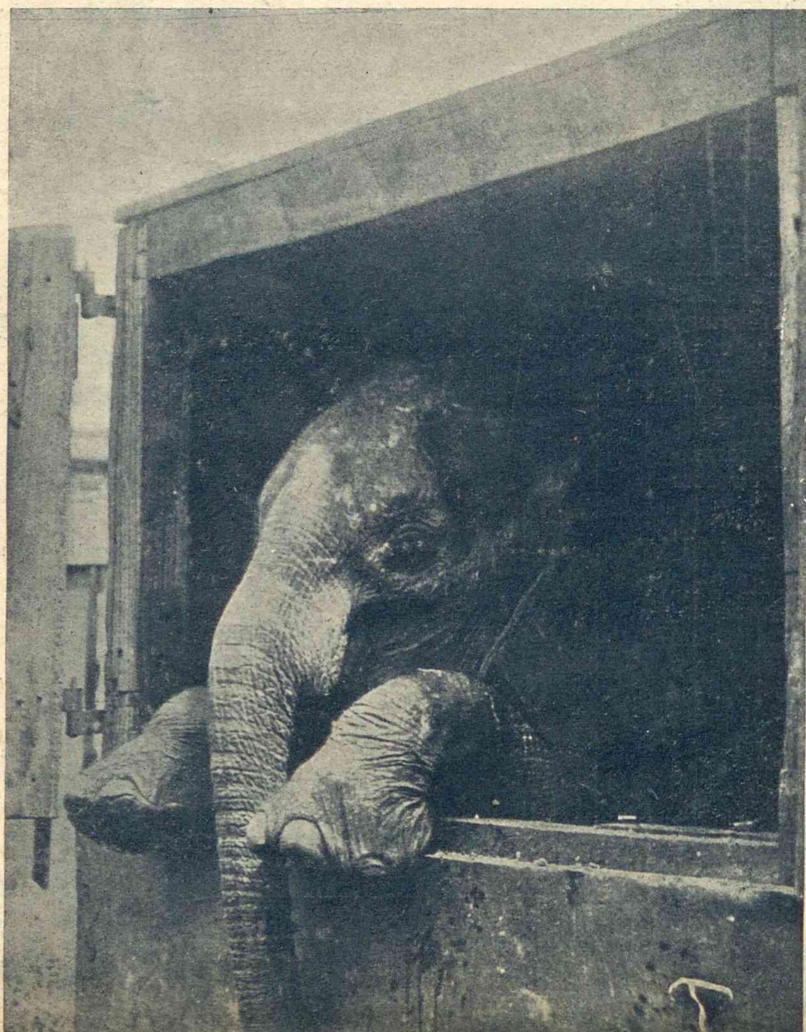
L. Ch.

Prezydent miasta St. Starzyński, wraz z komisją, dotarł do obudowanego i „ukrytego" zupełnie dla miłośników piękna Pałacu Potockich na Miodowej.



...przenosił Maharadżę przez święte wody rzek...

...z ciasnego wagonu ciekawie patrzy Dolly na świat...



DOLLY GLOB-TROTER

W dalekich Indjach, w głębiach dżungli urodził się słoń. Podobny do innych słoni, rósł sobie niefrasobliwie. Ktoby tam myślał, że losy jego będą zupełnie do losów jego towarzyszy niepodobne?

W młodości, gdy doszedł do lat rozumu, poszedł służyć bogatemu Maharadży. Przez wspaniałe drogi Indji, przez święte wody rzek przenosił swego pana. Po niejakim czasie pan sprzedał go anglikowi, który przybył zakupić dzikie zwierzęta do ogrodu zoologicznego w Londynie. Nazwano go Dolly.

Załadowany do ciasnego wagonu wygląda Dolly ciekawie na świat Boży. Jedzie wagonem, potem dłu-



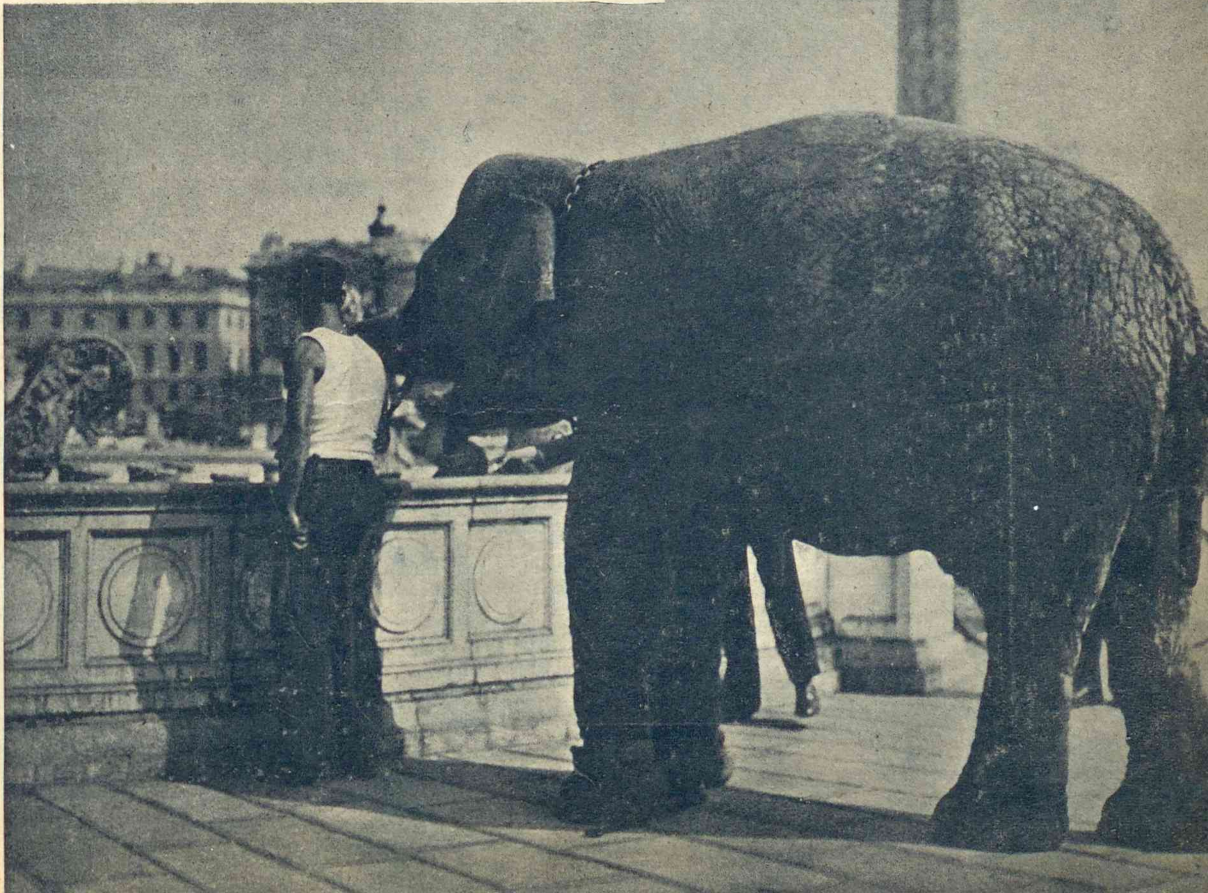
go statkiem, potem znów wagonem.. Jakże tu inaczej, niż w jego dalekiej ojczyźnie...

Nie na tem przecież skończyły się perypetje Dolly - globtrotera. W ogrodzie zoologicznym zobaczył go pewien ekscentryczny amerykanin, dziennikarz z zawodu. Jak to amerykanie — szukał rzeczy niezwykłych. Postanowił przejechać przez Alpy do Włoch — na słoniu, jakoby śladem starożytnego Hannibala. Żeby w Wiecznem Mieście pokonferować z Mussolinim.

Kroczy więc Dolly poważnie po górskich drogach Alp. Coraz wyżej. Nigdy jeszcze tą drogą słonie nie chodziły. Aż kiedy przekroczył najwyższe przełęcze, zatrzymać się musiał we włoskiem miasteczku Aosta, bo sobie pięty poodbijał. Poczem, odpocząwszy, ruszył Dolly ze swym amerykaninem do Rzymu, pogadał z Mussolinim i tą samą drogą wrócił do Paryża. Tu powiedział sobie: narazie dosyć sławy. Tu chcę zostać. Paryż mi się podoba.

Takie są dzieje słonia, który pił wodę ze świętych fal Gangesu, z górskich strumieni alpejskich, z fontanny Trevi w Rzymie, i z fontanny na Place de la Concorde w Paryżu.

...musiał odpoczywać w Aosta, bo sobie pięty poodbijał...



...pił wodę z fontanny na Place de la Concorde w Paryżu...

JERZY LESZCZYŃSKI

PRAWDZIWE ŁZY MODRZEJEWSKIEJ

(Inna jest prawda w życiu, a inna na scenie).

Premjerę dramatu Wincentego Rapackiego (ojca) „Wit Stwosz", która się odbyła w r. 1873 — publiczność i krytyka przyjęły z entuzjazmem. Nietylko dla niepoślednie wartości samego dzieła, lecz i przez wzgląd na obsadę sztuki. Ale bo też co to była za obsada! Jan Królikowski jako Stwosz, Modrzejewska, Beata, córka Stwosza, Żółkowski Król, Bolesław Leszczyński i sam autor — Wincenty Rapacki.

Wystarczy.

Poza Królikowskim, który w roli Stwosza stworzył człowieka, żywego, porywającego potęgą dramatycznego wyrazu, przepiękną postać Beaty dała Modrzejewska. Cudowny liryzm, czar zniewalający, sylweta pełna wdzięku i nieziemskiego uroku składały się na tę wspaniałą rolę — zwłaszcza jeden moment: ten niezapomniany płacz Modrzejewskiej nad dolą ukochanego ojca był czemś tak wzruszającem, że oczarowana publiczność płakała razem z genjalną artystką. Modrzejewska — po za wielkim talentem — była pierwszorzędną mistrzynią swego kunsztu.

W jej grze tak było wszystko obmyślone, wypunktowane, tak świetnie „zrobione", że mowy być nie mogło o jakiejś improwizacji, lub przypadkowości. Te łzy jej, jak najcudniejsze perły padające u nóg Stwosza, były tak pięknie, prawdziwie, i z taką genjalną miarą „zrobione", że publiczność nie mogła im się oprzeć i płakała, płakała... Triumf sztuki aktorskiej niezwykły!

W kilka dni po premjerze nadeszła wiadomość z Krakowa o nagłej śmierci Feliksa Bendy, brata Modrzejewskiej, również świetnego aktora.

Rozpacz Modrzejewskiej z tego powodu była bezgraniczna, kochała bowiem swego brata bardzo. Oczywiście o graniu w „Stwoszu" dnia tego nie mogło być mowy. Nikt zresztą nie wymagał tej ofiary od Modrzejewskiej. Udał się więc do jej mieszkania Rapacki, jako autor i reżyser sztuki, zawiadamiając, że przedstawienie będzie odwołane, i odezwał się w te słowa: „Droga pani Heleno! — wobec straszliwego ciosu, jaki panią dotknął, wobec boleści, w której i ja serdeczny biorę udział, bo to i świetny aktor i zacny człowiek nam ubył, nie mogę żądać, aby pani dziś grała. Rozumiem rozpacz pani — współczuję. Wita Stwosza dziś nie gramy".

Modrzejewska spojrzała na Rapackiego swemi anielskiemi oczami.

„Drogi panie Wincenty — odpowiedziała — dziękuję za zacne słowa, za serce mi okazane. Pragnę jednak złożyć ból mój na ołtarzu sztuki. Modrzejewska i Beata to dwie różne i odrębne istoty.

Jedna o drugiej wiedzieć nie powinna. Będę grać dziś wieczór".

Przedstawienie „Wita Stwosza" odbyło się. Modrzejewska w sposób godny podziwu panowała nad sobą. Publiczność jak zawsze była jej grą zachwycona.

Nadeszła wreszcie owa sławna scena z ojcem. I stała się rzecz dziwna! Pod wpływem bólu, rozpaczy, nocy strawionej we łzach nad śmiercią najdroższego brata, nerwy Modrzejewskiej nie wytrzymały napięcia. Podekscytowana sytuacją na scenie, zaczęła płakać „prawdziwemi" łzami. Zapamiętała się w swym bólu, straciła miarę, panowanie nad sobą, oraz kontrolę nad swym artyzmem — zaczęła płakać tak długo, i tak „prawdziwie", że publiczność pozostała niema i nieczuła.

Wydało się jej to przesadą.

Na scenie płakała Modrzejewska, nie córka Stwosza, i ten fałsz mimowolny publiczność wyczuła.

Tym razem sławna scena przepadła zupełnie. Jakaż z tego dla nas aktorów wypływa nauka?

Otóż aktor musi być panem swej sztuki.

Na scenie każdy ruch, spojrzenie, łza czy uśmiech, każde drgnięcie duszy tej fikcyjnej postaci, jaką ukazuje widzowi — wszystko — przejść musi przez alchemiczny tygiel jego kunsztu i woli.

Wszystko musi być „sztuką" zrobione.

Inna jest prawda w życiu a inna na scenie.

Opanowanie i umiar — oto busola, która prowadzi i kieruje nami po niezmierzonym oceanie Sztuki.

Kto chce panować nad drugimi — musi panować nad sobą.



Helena Modrzejewska

Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Ś. p. Wincenty Łukaszewicz, urodził się w Simnie ziemi Suwalskiej. Po ukończeniu gimnazjum w Suwałkach wstąpił na wydział prawny Uniwersytetu Warszawskiego, z którego został wydalony za udział w wiecu studenckim w 1905 r., poczem przeniósł się do Uniwersytetu Petersburskiego. Po otrzymaniu chlubnego dyplomu poświęcił się zawodowi prawniczemu w Petersburgu. Z chwilą odzyskania niepodległości, powrócił do Warszawy i tu objął stanowisko sędziego, piastując ostatnio godność kierownika biura Orzecznictwa i biura Prezydjalnego w Sądzie Najwyższym. Dewizą Jego cichego, skromnego a pełnego patrjotyzmu i dobrych uczynków życia było: „Żyć tak, jakby się miało umrzeć jutro, pracować tak, jakby się miało żyć wiecznie".

Ś. p. Wincenty Łukaszewicz zmarł w sile wieku d. 16.IX r. b. Żal szczery współtowarzyszów pracy oraz tych wszystkich, którzy Go znali z zalet Jego charakteru towarzyszy zmarłemu Sędziemu do grobu.

Cześć Jego świetlanej pamięci.

„Robotnikowi" w odpowiedzi

W jednym z ostatnich numerów „Robotnik"... skarcił nas za korespondencję z Neapolu, opisującą nastrój wyjeżdżających do Afryki Włochów, oraz podający włoskie racje, włoskich wystąpień. Autor tej korespondencji pisał: „jestem włochem... nie będę bezstronny". Takie jasne ujęcie sprawy nie wymagało żadnych komentarzy. Każdy uważny czytelnik wiedział, że czyta opinje — oświetlające stanowisko włoskie. Tak samo jak w numerze dzisiejszym każdy uważny czytelnik, czytając nasz wywiad z delegatem Abisynji do Ligi Narodów — wie, że to są argumenty abisyńskie i opinja drugiej strony. Podając te korespondencje, dajemy naszym czytelnikom informacje i materjał interesujący, nie wymagający interpretacji. Tygodnik nasz wyraźnie i zdecydowanie od wielu miesięcy wypowiadał się przeciwko zamiarom wojennym — może najkonsekwentniej z całej naszej prasy. Kiedyśmy demaskowali zbrojenia niemieckie jeszcze rok temu i obłudę handlarzy broni, to byliśmy prawie zupełnie odosobnieni— choć trzeba przyznać, „Robotnik" nas wówczas zaszczycał przedrukami. Przypominamy to nie dla polemiki — ale dla zaznaczenia, że ta mała wycieczka była niesłuszna.

Kiedy przed wojną jeden z przywódców socjalizmu francuskiego Marcel Sembat zamieszczał od czasu do czasu artykuły w „Matin" — to nikomu do głowy nie przyszło zarzucać redakcji, że nie składa oświadczeń programowych, dlatego, że drukowała ciekawy artykuł (i to zazwyczaj jako wstępny) świetnego publicysty socjalistycznego.

Pokaz samochodów organizowany przez Automobilklub Polski na terenie Wystawy Drogowej

Niespodziewanie impreza ta zgromadziła tłumy publiczności; 54 samochody, skupione na jednem miejscu i to w dodatku niesłychanie szczupłem, były jednak wielką atrakcją tak dla „speców", jak i różnorodnej publiczności, która z dużem zainteresowaniem oglądała poszczególne marki, badała silniki pod maską, co jest jednym dowodem więcej, iż zasięgi motoryzacji zataczają coraz większe kręgi wśród najszerszej publiczności.

Choć co prawda nie było na pokazie w dniu 22 września żadnej rewelacji, jednakże cały szereg wozów wyróżniał się wybitnie pięknością linji i doborem kolorów.

Pięknym bezkonkurencyjnie był jednakniemiecki Horch, przed którym w nabożnem zachwyceniu gromadziła się ciągle liczna publiczność. Może w innej stolicy, gdzie przed każdym hotelem stoją po dwa Rolls-Roycy, Hispano Suizy etc., na wóz ten mało kto by spojrzał, tutaj jednak był on bajką z 1000 i jednej nocy, jak rajski ptak wśród szarych wróbli.

Samochody „Polski Fiat" nie mają ambicji imponowania wyjątkową oryginalnością i skromnie kontentują się rolą wygodnego samochodu użytkowego, jednak dzięki właśnie dostosowaniu swoich linji do tego celu wyróżniały się korzystnie wśród innych marek i zyskiwały wielu zwolenników wśród ludzi „poważnie myślących". Niedawno na „Zjeździe Gwiaździstym" do Warszawy w dniu „Zawodów o Puhar Gordon Bennetta" na takim właśnie skromnym Fiacie 508 Major Gaweł wziął pierwszą nagrodę, zdobywając laury przed znacznie większemi i silniejszemi maszynami. Dwa nowe modele Fiata półtoralitrówki budziły wielkie zainteresowanie.

Pozatem uwagę zwracało kilka samochodów karosowanych w kraju. Karoserje te wykonane indywidualnie wyraźnie unikały szablonu i zostały nagrodzone przez Jury.

Wyróżniał się imponujący Mercedes-Benz ks. Lubomirskiej, połyskiwały w słońcu potężne limusiny amerykańskie.

Całość pomimo zbyt szczupłego miejsca, na którem mogły się poruszać maszyny, tracąc przez to na perspektywie, wypadła jednak raczej dodatnio, tem więcej, że publiczność mogła swobodnie krążyć od eksponatów Wystawy Drogowej do jej pierwszorzędnej racji bytu,— do samochodów.

Marja de Lavaux.

O PRAWDZIWEJ ELEGANCJI

SŁÓW KILKORO

Wsadzam kij w mrowisko. Mówię:

„Prawdziwą elegantką może być tylko miljonerka".

— Jakto — oponuje zdumiona moja interlokutorka — czyż moda dla kobiet bogatych jest inna, niż dla ogółu? Przecież można, wyrzekłszy się tylko drogich kamieni i drogocennych futer, być pozatem ubraną identycznie z miljonerką. Dzisiejsza demokracja zniwelowała te bezsensowne średniowieczne różnice.

„Myli się, droga pani. Tylko w Polsce uważa się, że manikurzystka może sprawić sobie płaszcz taki sam, jak bankierowa, a skromna pani referentowa mieć na bal suknię identyczną z potentatką śląskiego przemysłu. I dlatego widujemy rzeczy żałosne i śmieszne. W sukni z dwumetrowym trenem wsiada taka pseudoelegantka... do tramwaju, wytaplawszy wprzód ten tren dokładnie w błocie ulicy. A poczciwa panna Michasia, która tak ładnie umie klijentkom wylakierować paznogcie, myśli, że jest szykowna, bo kupiła na raty aksamitne palto „dernier cri" i paraduje w niem do pracy od ósmej rano. To wszystko jest zgubne pomieszanie pojęć i brak elementarnego wyczucia prawdziwej elegancji".

— No to na czem ona właściwie polega?

„Określiłabym to najlapidarniej tak: kobieta elegancka musi być najściślej sharmonizowana ze swem codziennem otoczeniem, ze swem środowiskiem. Kto mieszka w oficynie w pokoiku z kuchnią — gdy wystroi się na bal w „szatę wróżki", jest w swojem mieszkaniu nie na miejscu. Niech się nie łudzi, że „tego na sali balowej nie widać". Widać niestety doskonale. Bo inną harmonję ruchów, inną swobodę zachowania ma kobieta, stąpająca codzień po dywanach swego kilkunastopokojowego apartamentu, wypoczęta i wypielęgnowana, — a inną, jakże niedociągniętą elegancją, świeci kobieta pracująca, która po powrocie z biura może sama sobie gotowała obiad, w pośpiechu pobiegła do fryzjera przed samem „zamknięciem" — i zziajana, zmęczona, choć pełna entuzjazmu, idzie na zabawę. Taka kobieta nie może pretendować do miana prawdziwej elegantki".

— Więc jak ściśle określić: kto do tego miana ma prawo?

„Po pierwsze te kobiety, które nic nie robią. Nie pracują zarobkowo. Takich jest jeszcze dużo. A wśród nich ścisłą granicę między prawdziwą elegancją a pretensją do elegancji stanowi... samochód".

— Jakto? Co ma piernik do wiatraka?

„Ma, proszę pani — o czem w Europie wie każda kobieta. Tylko u nas kobieta pozbawiona samochodu może się łudzić, że jest wytworną damą. Na Zachodzie po to miano sięga tylko ta, na którą przed domem czeka jej własne auto. I to, porozumiejmy się odrazu, nie jakaś tam blaszanka, pięciokonna „Cytrynka" czy inny dziecięcy imbryczek. Maszyna, jak się patrzy, limuzyna dobrej marki — i koniecznie z szoferem. Rozpowszechnienie auta zagranicą doprowadziło na szczęście do tego, że każda sekretarka w Lidze Narodów, każda właścicielka sklepu w Paryżu, każda dentystka czy felczerka w Londynie ma własne auto. Ale prowadzi je sama — i dlatego nie może mieć tych możliwości nieograniczonej elegancji, jaką daje auto prowadzone przez szofera".

— No to polki właściwie wcale nie mogłyby — wobec takiego ostracyzmu — myśleć o elegancji? Żadna z nas nie jest elegancka? Bo żadna nie ma auta....

„Znów musimy się porozumieć. „Elegancję" podzieliłabym na trzy kategorje. Pierwsza — to niezwykle kosztowna wytworność kobiet naprawdę bogatych, dla których lansują swe kreacje paryscy twórcy mody. Granicą najniższą możliwości wejścia do tego klanu jest, jak mówiłam, własne wytworne auto. Takie kobiety w Polsce dzisiaj można prawie policzyć na palcach. Może jest ich kilkadziesiąt, może trochę mniej lub więcej".

— Przepraszam, ale wszystkie żony dygnitarzy oficjalnych mają swoje auta. Więc temsamem mogą należeć do „klanu". A jest ich przecież dużo....

„Niestety, droga pani. Ale do świata wytwornego zaliczymy tylko nieliczne wyjątki. Pani dygnitarzowa X., która przed paru laty była na prowincji żoną skromnego nauczyciela i prała dzieciom pieluszki, albo pani generałowa Y., która w małem miasteczku brylowała w garnizonie i za jedyną obsługę miała zasmarkanego ordynansa — ta pani dzisiaj może jezdzi Packardem rządowym, ale to nie znaczy, że już się nauczyła być kobietą wytworną".

— Czyż tego trzeba się uczyć?

„Niekoniecznie. Z tem można się też urodzić. Można to wynieść ze środowiska, zawdzięczając wytworność manjer i poczucie elegancji starej kulturze wychowania i starannej „Kinderstube". Kto tego nie posiada — bardzo musi nad sobą pracować, jeśli go pomyślna fala losu wyniosła nagle wysoko. Przecież już przeszła do historji ta polska dygnitarzowa, która, jadąc powozem z czarującą królową rumuńską, na jej pełne wdzięku i wytworności spostrzeżenia odpowiadała monosylabami... przez tłumacza. A gdy królowa Marja wypowiedziała słowa zachwytu nad urokiem lasów polskich, najpiękniejszych w Europie, dygnitarzowa w odpowiedzi mruknęła krótko: *„Las, jak las"*. Zafrasowany tłumacz ubrał wówczas tę lakoniczną sentencję w girlandę kwiecistych słów i zreferował królowej mnóstwo rzeczy, o których się pani dygnitarzowej nawet nie śniło. A wtedy szczerze zdumiona królowa zauważyła na to inteligentnie: „Jakież nieprzebrane jest bogactwo i zwartość wyrazu mowy polskiej: to co po polsku wyrażone zostało w trzech słowach, pan musiał mi opisywać tak długo po francusku"....

— No, to przecież był wyjątek...

„Niezupełnie. Jest ich więcej. Tylko niezawsze stoją tak wysoko, więc ich komiczne faux - pas łacniej przechodzą niepostrzeżone. Albo nie zyskują tak szerokiego

rozgłosu. Ale odbiegłyśmy od tematu".

— Więc zaliczywszy do klanu istotnie wytwornych wyłącznie te kobiety, które posiadają samochód i wrodzone poczucie wykwintu, jak pani określi inne kategorje elegancji?

„Kategorja druga: kobiety średnio zamożne, *nie pracujące zawodowo*. Jest ich coraz mniej. Żony lekarzy, adwokatów, lepiej sytuowanych urzędników, przemysłowców i kupców. Ziemian już nie — dziś ziemiankę z kręgu kobiet wytwornych usunęła — bieda. Kobiety kategorji drugiej mają dużo czasu na swe sprawy toaletowe. Mają od kategorji pierwszej grubo mniej pieniędzy — no i nie posiadają samochodu. To też muszą wykreślić ze swego repertuaru toaletowego wszelką ekstrawagancję, wszystko co bije w oczy, co się łatwo „opatrzy", co zwraca uwagę na ulicy. Mogą być niewątpliwie dobrze ubrane — ale ekscentryczne „krzyki mody" nie są wymyślone dla nich".

— A trzecia kategorja?

„Trzecia jest najliczniejsza. Obejmuje wszystkie kobiety pracujące. Czy to będzie biuralistka czy nauczycielka, dziennikarka czy adwokatka, fryzjerka czy „pomocnica domowa" — muszą zrezygnować z wielu wyrafinowań, dostępnych jeszcze kategorji drugiej. Określiłabym to tak: kategorja pierwsza jeździ własnem autem. Kategorja druga taksówką. Kategorja trzecia — tramwajem. I do tego muszą swój styl toaletowy stosować".

— Przyznam się, że mnie te różnice oburzają. Dzisiaj, w dobie kryzysu i ogólnej nędzy, czyż tolerowanie takich rozpróżniaczonych darmozjadów, które tylko o pięknych sukniach myślą, jest dopuszczalne?

„Pozory, kochana pani. Myślano tak przez parę lat i w stolicy mody, w Paryżu. I w Londynie, Rzymie, New - Yorku. Bogate kobiety „nastawiły się" na kryzys — ubierały się byle jak, tanio i niezawsze modnie. Ale się to przecież skończyło..."

— Dlaczego?

„Bo poważni ekonomiści, kierownicy wielkich gałęzi przemysłu, ministrowie pracy i bezrobocia, twórcy mody i handlarze djamentów, wszyscy, którzy znają się na rzeczy, zawołali pewnego dnia wielkim głosem: „Kobiety muszą na nowo zacząć się stroić! Inaczej zastępy rąk bez pracy powiększać się będą bez końca! Stanie cały przemysł „de luxe", cały handel pięknem i wykwintem. Przywrócić prawo obywatelstwa luksusowi! — Bo kiedy bogaci nie wydają pieniędzy, biedni nie mają z czego żyć". No, a kobiety usłyszawszy tak dramatyczne wezwanie,—jako że mają dobre serca — usłuchały".

— I co teraz?

„Teraz? Luksus jest znowu jaknajlepiej widziany. Rodzina królewska w Anglji robi, co może, co miesiąc obchodzi jakieś śluby, wesela, jubileusze, aby dać kobietom z high - life'u okazję do pokazania się w nowych, coraz wspanialszych toaletach. I tak samo jest w Paryżu, gdzie przywrócono zagłuszone od lat paru kosztowne „życie nocne". I tak samo w Wiedniu, Madrycie, New- Yorku. Nawet Moskwa zaczyna coś przebąkiwać o

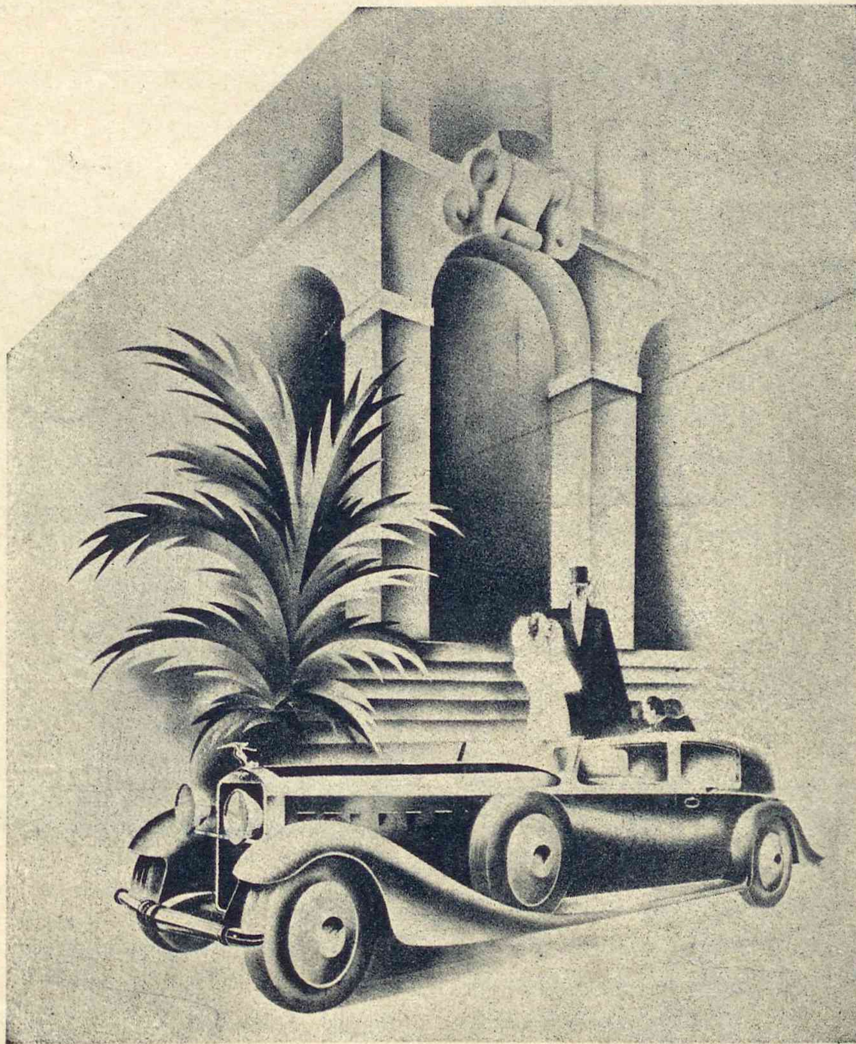


elegancji — oczywiście w domowym, ograniczonym zakresie".

— A u nas?

„U nas — kobiety mają też dobre serca. Ale z pustego i Salomon nie naleje, jak drogiej pani wiadomo. Więc sobie tylko platonicznie, z czystej miłości „sztuki dla sztuki", pomówimy następnym razem o modzie najkosztowniejszej — o modzie dla miljonerek".

Lustucru.



Na wytworną panią czeka przed domem taka Hispano Suiza albo Rolls-Royce

TYDZIEŃ „ŚWIATA“

Miecz Karola Wielkiego

Wielki partyjny zjazd socjalnarodowców niemieckich w Norymberdze przedstawiał się imponująco (liczbowo). Około 300 tysięcy uczestników; 20.000 sztandarów; ministrowie, sztab partyjny, sam kanclerz.

Ministrowie Laval i Beck, w kuluarach Ligi Narodów.



Jak doniosły depesze, nadburmistrz Norymbergi wręczył kanclerzowi Hitlerowi — *miecz*, który jest wierną kopją miecza Karola Wielkiego.

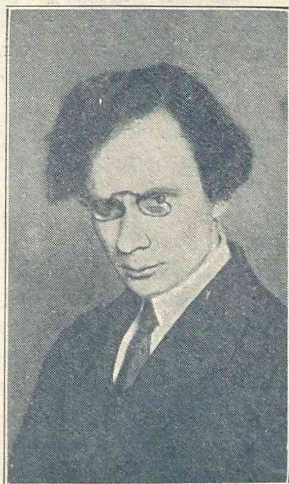
Miecz Karola Wielkiego oryginalny znajduje się w skarbcu cesarskim w Wiedniu.

Wręczając ten symboliczny dar od miasta Norymbergi, nadburmistrz wygłosił zdanie: „Miecz niemieckiej Rzeszy wodzowi wszystkich Niemców, który przywrócił Rzeszy jedność, siłę i wolność“.

A więc wodzowi wszystkich Niemców. Nawet tych co strzegą w skarbcu wiedeńskim oryginał Karolowego miecza! Ciekawe czy dar norymberski ma być symbolem, że kopja zdobywczego miecza wystarczyć ma kanclerzowi? Czy wobec tego zbrojny w kopję może odstąpić od zamiarów Anschlusowych!

A może ta kopja ma tylko pobudzić apetyt. Po Anschlusie — kopję możnaby zamknąć w skarbcu wiedeńskim, a oryginalny miecz Karola Wielkiego przypasać do boku.

Odznaczenie polskiego artysty



Wybitny pianista polski, prof. Józef Turczyński, otrzymał niedawno z rąk króla Bułgarskiego Krzyż Komandorski za zasługi poniesione dla Bułgarji na niwie artystycznej.

PODZIAŁ NOWEGO MILJONA

P. Kazimierz Czartoryski, uwidoczniony na fotografji, jest właścicielem jednej z ćwiartek N-ru 163.490, na który dn. 21 b. m. padła wygrana miljona złotych. Mieszka stale w Poznaniu, gdzie zajmuje się interesami handlowemi. Zapytany, co zamierza zrobić z wygranemi 200.000 zł., odpowiedział:

— Szczęście spadło na mnie tak niespodziewanie, że narazie nie orjentuję się, co zrobię. Chwilowo zatrzymam pieniądze w Banku Gospodarstwa Krajowego, gdyż wiem, że tam im będzie najbezpieczniej. Uważam sobie za obowiązek część wygranej wypłacić p. Ch., która na numer ten grała w poprzednich loterjach, a będąc osobą biedną grać przestała. Teraz będzie mogła znów próbować szczęścia.



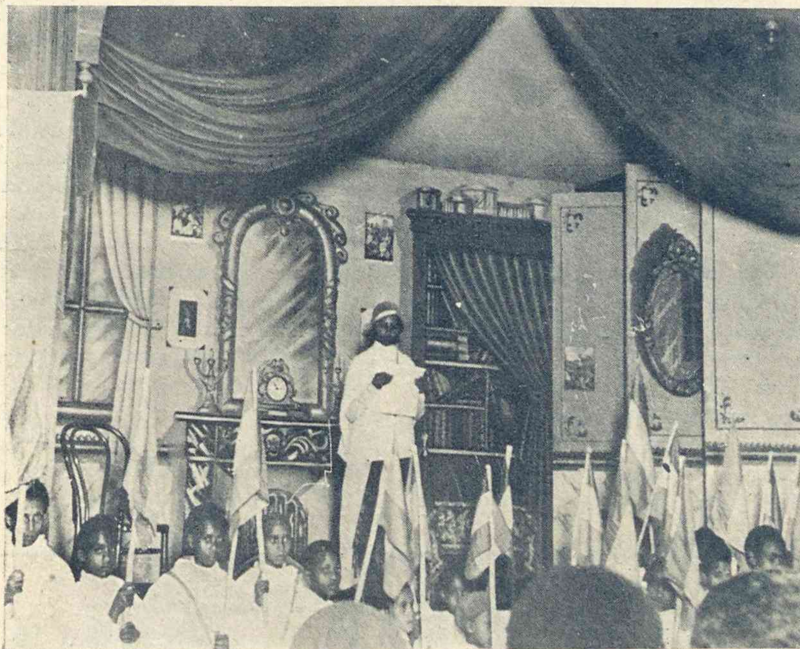
Próba udać się może tem łatwiej, że 34-ta Loterja daje, niezależnie od normalnych, nowe szanse graczom, w postaci wygranych dziennych. Będą one wylosowywane w każdym dniu ciągnienia, a wysokość ich wynosi w pierwszych trzech klasach 25.000 zł., w czwartej zaś — 30.000 zł.

W klasie pierwszej, której ciągnienie rozpoczyna się 18 października, wygranych dziennych będzie cztery, nie licząc normalnych, z których najwyższa wynosi 100.000 zł.

Właścicielka drugiej ćwiartki, siostra zakonna z Poznania, zapowiedziała swoje przybycie do Generalnej Dyrekcji Loterji Państwowej. Właścicielem trzeciej ćwiartki jest p. C. Rotenberg z Warszawy, o czwartej ćwiartce brak wiadomości; czyżby jej właściciel nie wiedział jeszcze o swem szczęściu?



Kwiaciarki rumuńskie na ulicach Bukaresztu.



Cywilizcaja wśród kobiet abisyńskich robi stałe postępy. Odczytywanie statutu kobiecej Ligi Obrony Ojczyzny.

KIOSK ORBISU NA WYSTAWIE DROGOWEJ

Na Wystawie Drogowej, otworzonej dnia 7 września na terenie Politechniki Warszawskiej, w dziale Turystyki znajduje się Kiosk Polskiego Biura Podróży Orbis, opracowany przez pierwszorzędnych artystów i fachowców.

Dorobek Polskiego Biura Podróży, uwidoczniony plastycznie w szeregu barwnych plansz, wykazuje stały rozwój instytucji, która w roku bieżącym doszła do liczby 100 placówek w kraju i zagranicą.

W dziedzinie obrotów nastąpił w ciągu pierwszych 7-miu miesięcy znaczny wzrost — do 47%. Świadczy to o zwiększającem się zaufaniu publiczności, która chętnie korzysta z usług Orbisu, zakupuje bilety w Orbisie i t. d. Świadczy to również o jakości pracy polskiego biura podróży, stwarzającego zdrowe podstawy pod rozwój turystyki narodowej.

Orbis jest jedynem biurem podróży, które z dużym nakładem pracy i środków prowadzi zagranicą akcję propagandy na rzecz wycieczek do Polski. Rezultatem tej pracy są coraz liczniejsze wycieczki turystów cudzoziemskich z Holandji, Szwecji, Finlandji, pielgrzymki Wiedeńczyków na Jasną Górę i 4-krotne, a coraz liczniejsze wycieczki Anglików w tym sezonie.

W organizowaniu turystyki w kraju, Orbis zajmuje się przedewszystkiem wycieczkami grupowemi, podczas — gdy Liga Popierania Turystyki objęła organizację przejazdów masowych. Wycieczki grupowe Orbisu cieszą się wielką popularnością, podobnie jak krótkie, weekendowe i świąteczne wycieczki z miast.

Jako narodowe biuro podróży, Orbis poświęca znaczną ruchliwość i duże wysiłki na rzecz turystyki polskiej ze względów propagandowych i gospodarczych ogólno-państwowych, współpracując z organizacjami państwowemi i społecznemi.



Ostatnie nagrania Columbia przysyła „na gorąco" — zamiast płyt normalnych dostaję „próbki" t. zn. płyty nagrane tylko po jednej stronie i opatrzone ręcznemi napisami. Jedna z tajemnic produkcji płyty została podpatrzona. Tymczasem bez końca słuchamy Janusza Popławskiego, który niedługo zamieni się w automat do nagrywania. Choć trzeba przyznać, że jest to głos wyjątkowo fonogeniczny, o miłej barwie, nadający się do repertuaru poważnego jak i lekkiego.

Na pierwszem miejscu należy wymienić prześliczną „Kołysankę" Järenfelt'a. Płyta ta dziwnie kojąco działa na nerwy, nadaje się dla chorych i zmęczonych. W podobny nastrój wprowadza nas znana „Melodja" Rubinsteina. Ostro kontrastują z tem „Cierpienia miłosne" Kreislera, które mimo tragicznego tytułu są dość wesołym utworem.

„Santa Lucia Luntana", piosenka neapolitańska i „Serenada" Pierné zamykają ten repertuar trochę z czasów prababek.

Wyjątkowo ładne, niebanalne i pełne poezji są słowa Skrzypińskiego, zwłaszcza w kołysance. (W „Cierpieniach miłosnych" zadużo jest: Ach!).

Pozostałe płyty to muzyka taneczna w wykonaniu orkiestry Golda.

Z nowej operetki Benatzky'ego „Kawiarenka" mamy melodyjny walc: „Bez kobiet i bez muzyki" oraz slowfox „Tylko dla ciebie". W tym ostatnim za częste zmiany instrumentalne w orkiestrze zacierają linję melodyjną.

Zapowiedzią nowego filmu „Dwie Joasie" jest boston „Dlaczego właśnie dziś", którego słowa przypominają minioną wiosnę i slowfox „Od miłości nikt się nie wykręci".

Na zakończenie dla „adoratorek" Boda podajemy 2 jego płyty.

Z filmu „Wacuś" 2 foxtrotty „W niedzielę" i „Wacuś" pełne humoru i wesołości. Muzyka Dana, słowa Tuwima.

Popularny obecnie foxtrot „Ja się boję być we dwoje" Bodo nagrywa po swojemu, zastępując brak głosu świetną interpretację, czem osiąga doskonałe efekty.

H.

MUZYKA ZAGRANICĄ

„ŚPIEWACY NORYMBERSCY"

W czasie kongresu partji hitlerowskiej w Norymberdze między innemi uroczystościami 11 września odbyło się w operze wielkie galowe przedstawienie. Nawiązując do okoliczności, dano operę Wagnera „Śpiewacy Norymberscy" (Meistersinger von Nürnberg).

Dzieło to napisał Wagner na wygnaniu w Szwajcarji jako reakcję po tragicznym „Tristanie i Isoldzie". Utwór ten jest apoteozą ducha niemieckiego. Naczelna postać — śpiewak, Hans Sachs jest symbolem narodowej poezji niemieckiej.

Styl muzyczny „Śpiewaków Norymberskich" znacznie różni się od stylu poprzednich dzieł Wagnerowskich, jak: „Rienzi", „Holender Tułacz", „Lohengrin". Jako wyraz prostoty, jędrności, i tężyzny przeważa w harmonji djatonika zamiast chromatyki. W melodji zjawia się często pierwiastek ludowy. Każda z osób występujących w akcji posiada swój własny moytw — jest to charakterystyczna cecha Wagnera.

Polifonja tej opery jest nadzwyczajna. Szczytem kontrapunktycznego mistrzostwa jest bójka w II-gim akcie, gdzie płynie równocześnie 20 samodzielnych głosów.

Przedstawienie to zaszczycił swoją obecnością Hitler na czele rządu, dyplomacji i kierowników ruchu narodowo socjalistycznego.

Wejście Hitlera do loży powitane zostało długiemi oklaskami. Po akcie pierwszym zjawiła się Winifreda Wagner, która zajęła miejsce obok Hitlera.

Operę w mistrzowski sposób prowadził Wilhelm Furtwängler. Obsadę stanowili śpiewacy tej miary, co: słynny Manowarda, w głównej roli Hansa Sachsa, Wolf, Maria Müller i wielu innych. Wszyscy wywiązali się z zadania znakomicie.

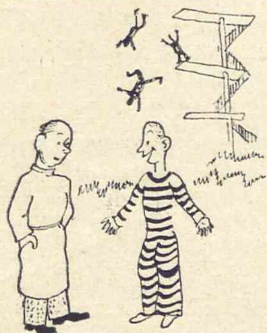
Do spotęgowania wrażenia przyczyniły się też doskonałe kostjumy i dekoracje, utrzymane w odpowiednim stylu, nie przeładowane, jak to się często w Niemczech zdarza.

H.

Jesienny sezon koncertowy w sali Konserwatorjum

W pierwszych dniach października nastąpi inauguracja 11-go sezonu koncertowego w sali Konserwatorjum pod dotychczasową dyrekcją Henryka Markiewicza, która pozyskała najwybitniejszych artystów polskich i zagranicznych. Między innymi występować będą: pianiści:— Artur Rubinstein, Zbigniew Drzewiecki, Józef Turczyński, Alfred Cortot, Claudio Arrau, Henryk Sztompka, Bolesław Woytowicz, France Ellegaard, Beveridge Webster, Roman Jasiński, Stefan Gajewski i Raul Koczalski; skrzypkowie — Józef Szigeti, Wacław Kochański, Ginette Neveu, Irena Dubiska, Henry Temianka; śpiewacy — Turska - Bandrowska, Zofja Fedyczkowska, Irra Petina, Marian Anderson, Maurycy Janowski i Beniamino Riccio; zespoły kameralne — duet na skrzypce i fortepian Krauss i Goldberg 3 wieczory (wszystkie sonaty Beethovena), Warszawski Kwartet Smyczkowy, Wiedeński Kwartet Rothschilda oraz Kwartet Wokalny Kedrowa. Pozatem występować będzie cały szereg pianistów, skrzypków i śpiewaków z Z. S. R. R. i Chór Bułgarski z Plovdiva. Na inauguracyjnym koncercie grać będzie prof. Zbigniew Drzewiecki.

ANEGDOTY WARJACKIE



Dyrektor jednego ze szpitali dla warjatów założył dla — powiedzmy delikatnie — pensjonarjuszy swojego zakładu basen pływacki z trampoliną i wieżą do skoków.

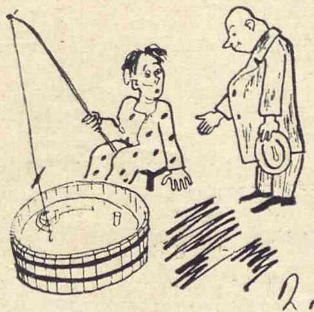
Spotkawszy jednego z chorych na spacerze, pyta go, jak się chorym ta nowa inwestycja podoba.

— O, wspaniale, panie doktorze, — co oni tam nie wyrabiają. Skaczą zgóry na dół na głowę, szaleją, cały szpital się bawi!

— No, to bardzo się cieszę, że się wam tak podobało — powiada doktór.

— Tak, panie doktorze, a co dopiero będzie, jak napuszczą wody!

* * *



Doktór odwiedza jednego ze swoich chorych w mieszkaniu. Pacjent siedzi z wędką na środku pokoju i łapie ryby w balji pełnej wody. Doktór pogodnie się uśmiecha i pyta łagodnym głosem:

— No co, dużo pan rybek już złapał?

— Co? pan doktór warjat? w balji?

* * *

W szpitalu dla warjatów wylazł na dach jeden z chorych i w żaden sposób nie można go było nakłonić, żeby zlazł z tego dachu. Wszelkie perswazje i obietnice nic nie pomagały. Kiedy sanitarjusze wyszli na dach — warjat stanął nad rynną i groził, że zeskoczy. Przyjechała straż ogniowa z sikawkami i drabinami, cały personel szpitalny zebrał się przed budynkiem, wszyscy stali bezradni i proponowali różne więcej lub mniej trafne sposoby. Te usiłowania ściągnięcia chorego z dachu trwały już dłuższy czas, kiedy do dyrektora szpitalu podszedł „kolega" chorego z dachu i zaczął mu coś szeptać na ucho. Szło mu o to, że za cenę jednego papierosa podejmował się ściągnąć kolegę z dachu na ziemię. Oczywiście papierosa mu obiecano. Wtedy zdjął marynarkę, złożył ją starannie na ziemi, podszedł pod dom, napluł w garść i podparłszy się pod dom z wysiłkiem — krzyknął do góry:

— Feluś, złaź prędko, bo kamienicę przewracam!

A na to kolega z góry:

— Zaraz, zaraz, zaczekaj jeszcze na mnie — już złażę!

Oczywiście papierosa dostał.

* * *



W jednem z mniejszych miast zamknięto na rynku w żelaznej klatce niebezpiecznego furjata. Publiczność przystawała i przyglądała się warjatowi. A był jeden wesoły pan, który przychodził codzień, stawał przed klatką i drażnił się z warjatem. Wsadzał do klatki pręcik i pokrzykiwał: „a kysz - kysz". Zabawa ta trwała do pewnego dnia, w którym dozorca zapomniał zamknąć drzwiczki od klatki. Warjat wylazł z klatki i zaczął gonić prześladowcę. Wesoły pan w piekielnym strachu uciekał z ulicy w ulicę, zgubił pręcik, zgubił kapelusz, oblewał się zimnym i gorącym potem ale „wiał" ile sił w nogach — za plecami słyszał straszliwe sapanie furjata.

Wreszcie wpadł w zaułek bez wyjścia — dobiegł do końca, kucnął przy ścianie, skulił się i czekał na śmierć.

Nadbiega furjat, staje nad nim i powiada:

— A kysz, kysz! Czego uciekasz, warjacie?

* * *

Autentyczną anegdotę opowiadał ze swojej praktyki dyrektor jednego ze szpitali pod Starogardem. Wyszli z chorym na balkon trzeciego piętra. Chory nogół spokojny, zaczął okazywać nagłe zniecierpliwienie i powiada do doktora:

— Ano, skacz na dół!

Kategoryczny ton i siła fizyczna chorego nie pozwoliły doktorowi stawiać sprzeciwów. Wiedział, że ratunek może znaleźć tylko na drodze wyjątkowych, „warjackich" sposobów. Chwyta błyskawicznie myśl i powiada:

— Tak — stąd nadół zeskoczyć nietrudno, ale — zdołu wskoczyć do góry! lećmy nadół!

I szybko zbiegli po schodach.

* * *

W szpitalu dla obłąkanych siedzi warjat — izraelita. Jest sobota. Chory awanturuje się i żąda koszernego jedzenia. Zarząd szpitala sprowadza mu koszerne jedzenie i właśnie w chwili, kiedy posługacz mu je wnosi — on siedzi i pożera kawał kiełbasy.

„Więc jakto tak: robisz awantury o koszerne, a jak my ci je przynosimy, to jesz kiełbasę?

„Tak — a warjat to już ja nie jestem?"

Anegdoty teatralne

Inspicjent operetki, Hubert, nie znał języka rosyjskiego.

W teatrze „Nowości" za dyrekcji teatrów rządowych często brano, jako statystów, żołnierzy warszawskich pułków.

Wśród załogi warszawskiej służyli sami rdzenni Rosjanie i to przysyłani do „Priwislinja" z najdalszych okolic Wielkorosji. Nic dziwnego, że po polsku nie rozumieli.

Hubert dostał polecenie od reżysera, aby zaopiekował się żołnierzami, przysłanymi z koszar do statystowania w teatrze „Nowości". Inspicjent wskazał im, gdzie ich garderoba, w jakie kostjumy mają się przebierać i wyszedł.

„Sołdaty" nie zrozumieli, co do nich mówił i siedzieli cierpliwie w garderobie pod sceną.

Kiedy Hubert wszedł, aby ich wołać na scenę, z przerażeniem spostrzegł, że są jeszcze nie przebrani. Zawołał więc rozkazująco:

— Ubirajtieś! (Co znaczy po rosyjsku: wynoście się).

Oczywiście inspicjent w ten sposób chciał wyrazić po rosyjsku, aby się ubierali.

Kiedy wrócił za 10 minut, aby ich sprowadzić na scenę, ani jednego statysty nie zastał. Maszerowali już do koszar Krakowskiem Przedmieściem.

* * *

Państwo N. wrócili z Karlsbadu. Mąż, chcąc zrobić żonie przyjemność, kupił bilety do teatru na „Stare wino" i komunikuje żonie:

— Duszko, idziemy dziś wieczór na „Stare wino".

— Ledwieś wrócił z Karlsbadu, ledwieś skończył kurację i już nie możesz wytrzymać bez alkoholu... — strofuje go żona.

* * *

Jan Szymborski, znany przed laty dyrektor prowincjonalnej trupy teatralnej, lubił kolegom i koleżankom robić kawały. Nie oszczędzał w tych wypadkach nawet rodzonej żony, która grywała młode role, choć młodość jej dawno należała do przeszłości.

Dowcipny dyrektor umówił się pewnego wieczora z aktorem, grającym rolę Filokomesa w „Pięknej Helenie", (sam grał Kalchasa), że kiedy on, jako Kalchas, zaśpiewa: „Filokomes, marsz do grzmotów!"—aby „Filokomes, odpowiedział, nie jak jest w partycji „Jestem gotów!", ale, żeby nie zrozumiał tego rozkazu i postąpił inaczej, niż to informacja librecisty „Pięknej Heleny" przewiduje. I stało się, że gdy w omówionej scenie w obecności Partenidy i Leny (z których jedną grała dyrektorowa, a drugą też już leciwa aktorka) — Kalchas zaśpiewał: „Filokomes, marsz do grzmotów"— ten, zamiast iść do świątyni, chwycił pod ręce Partenis i Lenę.

— Ale nie do tych grzmotów! — zawołał na to Kalchas.

* * *